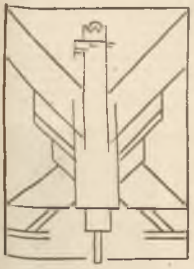
Rok II Warszawa, poniedziałek 23 stycznia 1939 r. Nr 35

Sport szkolny

10 gr







POLSKA - FRANCJA 0:4

Krzyk — najlepszym z Polaków

(Telefonem od naszego stałego korespondenta)

W niedzielę w Paryżu na Stadionie „Parc des Princes" rozegrano wobec 25 tys. widzów pierwszy międzypaństwowy mecz piłkarski Francja — Polska, zakończony zdecydowanym zwycięstwem drużyny francuskiej w stosunku 4:2 (2:0).

Wśród widzów zgromadziła się liczna, bo ok. 3 tysięcy osób licząca kolonia polska „uzbrojona" w chorągiewki. o barwach biało - czerwonych.

Przed rozpoczęciem meczu nastąpiło powitanie drużyn oraz odegranie hymnów narodowych. Polacy byli serdecznie oklaskiwani.

Boisko, mimo dwudniowego deszczu, nie przedstawiało się najgorzej, gdyż skutkiem polepszenia się pogody od rana nieco wyschło. Ale po 20 min. gry znów zaczął padać deszcz, skutkiem czego było bardzo ślisko. Miało to duże znaczenie dla naszych zwłaszcza graczy, nieprzyzwyczajonych do gry na takim terenie.

Od gwizdka rozpoczynającego grę, Francuzi nadają mordercze tempo, które nie słabnie aż do końca meczu. Doskonale widać, że Matyas ani Wilimowski nie będą mieli wiele do powiedzenia, gdyż są doskonale kryci. W pierwszej połowie Matjas był pod czujnym okiem Jordana, który po przerwie przeniósł swą uwagę na Wilimowskiego. Nasz bramkarz począwszy od pierwszych minut jest pod niesłabnącym obstrzałem francuskiego ataku. Veinante, który odgrażał się, że nie weźmie udziału w meczu, jest najczynniejszym i przysparza wiele niepokoju naszej obronie, by wreszcie **W 16 MINUCIE DŁUGĄ CENTRĄ ZDOBYĆ 1 BRAMKĘ DLA FRANCJI.** Od tego momentu publiczność paryska, zachowująca się dość spokojnie rozpoczyna dopingowanie swych graczy, przeciągłym krzykiem. Nasi robią momentami wrażenie zdezorientowanych, tak szybką jest gra przeciwników, którzy są zawsze pierwsi przy piłce. Choć na oko gra wydaje się niebezpieczna, lecz obywa się bez fauli. Piątek w walce o piłkę zderza się z Matlerem i wyraźnie kulejąc opuszcza na 5 minut boisko. W tym czasie lewy łącznik Heisse-

(Dokończenie na str. 2-ej).



O czym mówią zagranicą

Szkoła a sport

Najmłodszym graczem, nie tylko reprezentacji Anglii, ale także spośród wszystkich 14 państw biorących udział w mistrzostwach hokejowych świata 3—12 lutego w Szwajcarii — będzie niewątpliwie Artur Green. Jeszcze w roku ubiegłym piętnastoletni uczeń kolegium Eton bronił z powodzeniem barw swej szkoły na międzyszkolnych rozgrywkach hokejowych. Styl jego i technika zwróciły uwagę kapitana narodowej reprezentacji, który skrzętnie notował w pamięci nazwiska co lepszych graczy szkolnych.

Pewnego dnia rektor kolegium zawołał swego wychowanka, Artura Green, i z dumą oświadczył mu, że klub Wembley Terriers zwrócił się do dyrekcji z prośbą o przydzielenie uzdolnionego w sztuce hokejowej ucznia na treningi klubowe.

W połowie stycznia Green uczestniczył już w barwach swego nowego klubu w eliminacyjnych rozgrywkach przed wyznaczeniem reprezentacji do Szwajcarii. Urządzono także mecz team A — team B, przy czym w pierwszym z nich zagrał jako środkowy napastnik — beniaminek hokeja angielskiego. Przewaga teamu A była tak znaczna, że sędzia zawodów, Pearcy H. Nicklin, nie wiedział dokładnie czy wynik brzmiał 24:4 czy też nieco inaczej, taki bowiem grad strzelonych bramek spadł na bramkarza drugiej reprezentacji. Po tym meczu skład drużyny na mistrzostwa świata ustalono jak następuje: J. Foster (Harringay Greyhounds), S. Simon (Earl's Court Redwings), G. Dailley (Wembley Monarchs, capt.), R. Wyman (Princes), J. Collins (Kelvingrove, Glasgow), W. Fullarton (Fife Wlyers), P. Halford (Princes), J. Kelly (Wembley Monarchs), T. Grace (Earl's Court Marlboroughs), J. Ridley (Earl's Court Redwings), N. Molnroy (Fife Flyers), A. Green (Wembley Terriers), K. Perrin (Earl's Court Redwings).

Gdy Green powrócił w mury swej uczelni, zastał na biurku u swym „Workroom'ie" odpowiednie pismo z dyrekcji, następującej treści:

„Dumni jesteśmy, że z murów naszego kolegium wyszedł reprezentant Wielkiej Brytanii, któremu życzymy, by z powodzeniem bronił barw Zjednoczonego Królestwa. James Konnway of Scrouts, dyrektor Nauk kolegium Eton".

Czyż to nie bajka o żelaznym wilku, młodociany polski czytelniku???

Jeszcze o Anglii

Nie tak dawno pewien krezus, właściciel kopalni węgla w miejscowości Cardiff — zwrócił się z tymi słowy do kierownika miejscowego klubu piłkarskiego Cardiff City:

„Chciałbym wrócić klubowi — rzekł miejscowy potentat — jego świetność sprzed laty, pozwolić mu na sprowadzenie dobrych graczy i dostarczyć sumy 40 tysięcy funtów, która by nie tylko pozwoliła na spłacenie wszystkich długów, lecz wystarczyła na wybudowanie własnego boiska z trybunami i zrobienie odpowiedniej reklamy klubowi".

Kierownik klubu powtórzył tę rozmowę swym kolegom klubowym, którzy choć niezadowoleni z ingerencji obcego w sprawy klubowe, zwołali zebranie zarządu, by zastanowić się wspólnie nad tą wielce ponętną propozycją.

Po godzinie — przewoźnik mebli, akwizytor, drukarz i trzech lekarzy — jednym słowem zarząd w pełni, złożyli następujące oświadczenie niedoszłemu dobroczyńcy:

„Rada klubu Cardiff-City odmawia zarówno daru, jak i podania powodów, które ją do tego skłoniły".

Cardiff-City, sklasyfikowany jako ostatni wśród klubów trzeciej ligi południowej, pozostanie w dalszym ciągu malutkim klubem, lecz nie straci swej niezależności.

W czwartek zmarł w Krakowie wizytator dr.

Z. WYROBEK

członek Rady Naukowej W.F.

Zmarły był pionierem idei wychowania fizycznego w szkole i walczył na Radzie Naukowej o uznanie sportu szkolnego.

Cześć Jego Pamięci!

Polska — Francja 0:4

(Dokończenie ze str. 1-szej).

...rer strzela z lewej nogi z podania Astona i lokuje w 41 minucie piłkę, która jest doprawdy nie do obrony, w siatce.

Gwizdek oznajmia koniec pierwszej połowy meczu, który brzmi 2:0 dla Francji.

Stosunek rogów 6:1 na korzyść niebiesko - białych, świadczy dokładnie, że nasi przeciwnicy są dużo mocniejszym zespołem, poza tym mają przewagę grając z wiatrem i drobnym kapuśniaczkiem.

Po przerwie polski atak zostaje przesunięty. — Piątek zamienia się z Wostalem i gra jako prawoskrzydłowy. Niestety raczej statystuje, gdyż wyraźnie utyka na prawą nogę i krzywi się — widać, że uraz mu dolega. Francuzi są ciągle w przewadze, lecz Krzyk likwiduje wspaniałymi robinsonadami zakusy francuskiego ataku, kilkakrotnie dość ryzykownie, wybiegając do przodu. Tak Krzyk ma stale „pełne ręce roboty" najmniej 30 razy był atakowany, podczas gdy Llense zaledwie dwa razy bronił bramki. W 18 MINUCIE VEINANTE STRZELA BRAMKĘ Z ROGU, pakując piłkę silnym łukiem w siatce. Stan 3:0 dla Francji. Teraz następuje kilkuminutowa przewaga Polski. Gra przenosi się pod francuską bramkę — Wostal strzela z podania Wodarza, niestety piłka przechodzi obok bramki. I znów przewaga francuzów: Ben Barek który stanowczo jest najlepszym ze swej drużyny dwoi się i troi po boisku. W 24 minucie Krzyk zderza się z Veinante, chwyta się za bok i na chwilę przysiada na bramce. Na szczęście kontuzja okazuje się lekka — i za chwilę nasz doskonały bramkarz jest znów w akcji, gdyż sytuacja jest coraz niebezpieczniejsza. Nagle Ben Barek, który stale trzyma się nieco z tyłu podaje piłkę DO ZATELLEGO, KTÓRY PŁASKIM, OSTRYM STRZAŁEM LOKUJE PIŁKĘ W SAM RÓG BRAMKI W 30 MINUCIE. Od tego momentu tempo, które może nieco osłabło w ostatnich minutach — wzmaga się. Veinante na zmianę z Zatellim, który okazał się świetnym nabytkiem (gra na miejsce Courtois) bez przerwy robią wypady do polskiej bramki i należy tylko zawdzięczać doprawdy nadzwyczajnej grze i zimnej krwi Krzyka, że stan bramek nie brzmi 10 lub 15 do zera. W międzyczasie Szczepaniak zastaje kontuzjowany, jak również Krzyk po raz drugi. W drużynie polskiej następują przestawienia, a mianowicie Szczepaniak idzie na skrzydło, Góra na obronę a Wostal na pomoc. W ostatnich minutach nasz atak stara się poprawić wynik — niestety nasi chłopcy są za powolni — nim dobiegną do piłki, już ma ją przy nodze Francuz. Zresztą nie ma się czemu dziwić — we Francji rozgrywki ligowe są w pełni, gracze są w szczytowej formie, czego absolutnie brak naszym graczom, u których widać brak szybkości, a więc i treningu. Wreszcie gwizdek sędziego oznajmia koniec meczu.

A więc 4:0 dla Francji, przy stanie rogów 8:3. Sędziował p. Jordan (Szwajcaria).

Nasza drużyna żegna okrzykiem paryską widownię i udaje się do szatni. Na końcu idą powoli wspierani przez kolegów Piątek i Szczepaniak. Tymczasem Ben Barek podbiega do Krzyka i gratuluje mu wspaniałej obrony. Francuzi krzyczą: brawo Ben Barek, brawo Szik, tak przezwała widownia naszego bramkarza — il est chic! (czyli przepyszny). Tak to są naprawdę dwaj bohaterzy spotkania Polska—Francja.

Wprawdzie wynik 4:0 wydawać się może przykrą porażką, nie należy mieć pretensji do naszych chłopców, gdyż dali z siebie co mogli, szczególnie jeśli zważyć, jak wspaniale byli kryci. I należy tylko życzyć by nasza reprezentacyjna 11-ka skorzystała z doskonale lekcji francuskiej i nauczyła się krycia swych przeciwników, nie zwalniając ani na chwilę tempa ataku, jak to pokazała im naprawdę grająca bez zarzutu drużyna francuska.

Stadion Parc des Princes powoli pustoszeje... E. Ałasz.

SZWEDZKIE ECHA

Urządzić turniej na piętnastolecie P. Z. B.!

„Były czasy, kiedy uważaliśmy się za szczęśliwych, kiedy ze Szwedami, arystokratami sportu, kuzynami Anglii, remisowaliśmy u nas w kraju" — powiedział prezes P.Z.B. major Mieczysław Mirzyński po meczu.

I słusznie! Zrobiliśmy od tamtych czasów wielki krok naprzód. Dawniej, kiedy w hierarchii bokserskiej Europy zajmowaliśmy jedno z ostatnich miejsc, to jednak nie załamaliśmy rąk, i z optymizmem patrzyliśmy w przyszłość. Wszak Polacy, to urodzeni pięściarze — mówiono — potrzeba im szlifu, rutyny i... trenera; mogą oni zajść jeszcze daleko!

I sprawdziło się! Dziś jesteśmy na czele boksu europejskiego. Dziś nie potrzebujemy się wstydzić naszych chłopców. Dziś mamy doskonałą ósemkę, najlepszą w Europie!! A jednak, jak trudny był start do tego.. Jak trudną pracę mieli pierwsi zawodnicy i kierownicy... Jak smutny, a zarazem wspaniały, ten „heroiczny" okres naszego pięściarstwa. Tak np. w pierwszych mistrzostwach Polski, urządzonych 3 maja 1924 roku, do boju stanęło „aż"... 19 zawodników różnych wag! Dziś, gdyby nie było ograniczeń, stanęłoby tylko... 1900 albo więcej!! Ale czy ci obecni zawodnicy walczyli by w śmierdzącej ...derze w Parku Sobieskiego? Czy z perspektywą jednego meczu na r... uprawiali by oni boks?! nie, z pewnością nie. Dzisiejsi bokserzy to „lalusie" w porównaniu z tamtymi starymi.

A były czasy, że już naprawdę ręce opadały z czarnej rozpaczy, nie było żadnych widoków na lepszą przyszłość... Taka Olimpiada amsterdamska: wysyłamy czterech — zdawałoby się, „kwiat" boksu europejskiego — pięściarzy... Trzech przegrywa pierwszą walkę nokautem, czwarty na punkty.

Czy po tym nie można było się zniechęcić? Tak, ale my nie zniechęciliśmy się!!!

Wytężoną i solidną pracą, doszliśmy do tego, że każdy z nami musi się liczyć.

Porażkę 6:10 (1934) w Sztokholmie uważaliśmy za sukces! Dziś bijemy Szwedów w ich „własnym" Sztokholmie 12:4, a mamy pretensje i do 14:2! Załamanie po mistrzostwach w Mediolanie minęło! ... be mamy dobra, niestety z lukę ... ciężkiej. Piłat jest teraz stale ... jeszcze rok... najwyżej dwa... a kto go potem zastąpi. Napewno nie ...kowski! musimy poczekać, aż naj...dzi się nowy Kupka. Nawet ... lekka, w stylu Woźniakiewicza ... dość silną. Bije on przecież 90% bokserów tej kategorii w Europie. Pisarski, tak jak zresztą Szymura wracają do formy! Jest to prognostyk przed meczem z Italią. Kozłek, pomimo osłabienia robieniem wagi jest naszym silniejszym punktem. Rotholc był za pewnym siebie w Szwecji i dlatego zawiódł. ... jednak zawsze murowanym ... ciężcą. Musi się jednak nauczyć walczyć z przeciwnikiem bijącym się z odwrotnej pozycji. Czortek to szczyt poświęcenia i ambicji!! ... nie też dostał puchar za najlepszą walkę. Kolczyński — nazwisko samo mówi za siebie! Dość powiedzieć, że dawno nie widziała Europa takiego pięściarza jak ... Ogólnie ósemka silna, a nawet na terenie Niemiec mamy przynajmniej remis!

Teraz czekamy na Italczyków (... marca). Teraz pokażemy im czego śmy warci, a jeżeli nie zwyciężymy ich tak wysoko jak oni nas w Wenecji, tom kiep!!

J. R.

15 lecie P. Z. B. wypada na 12 lutego. A gdyby tak zorganizować turniej z najlepszymi bokserami Europy?



Feliks Stamm, nieoceniony selekcjoner... dant naszych pięściarzy, na nartach

12 KLUBÓW W LIDZE!

W sobotę w sali konferencyjnej PUWF odbyło się doroczne walne zgromadzenie Ligi PZPN przy udziale przedstawicieli wszystkich 10-ciu klubów ligowych oraz delegata PZPN inż. Przeworskiego. Obrady zagaił prezes Ligi płk. dr. Rudolf, poczym na przewodniczącego wybrano dr. Obrubańskiego z Krakowa, na zastępcę prof. Wacka ze Lwowa, a na sekretarza p. Gazura z Warszawy.

Dokonano wręczenia dyplomów i odznak trzem pierwszym klubom z rozgrywek r. 1938-go, a mianowicie Ruchowi, Warcie i Wiśle, odznaki zasłużonych nadano płk. Rudolfowi, dr. Michałowskiemu, mjr. Ślepeckiemu, dyr. Frenklowi i p. Wydrychowi. Wręczono także puchar za grę poprawną klubowi Śmigły. Następnie dokonano pożegnania ŁKS-u i Śmigłego, a powitania Garbarni i Union-Touringu, które weszły do Ligi.

Przystąpiono potem do rozpatrywania wniosków. M. in. uchwalono, wniosek Amatorskiego KS o powiększenie liczby klubów do 12-tu z tem, że w latach 1940 i 1941 spadać będzie z Ligi jeden z klubów a wchodzić dwa. Za wnioskiem tym, który wymaga jeszcze zatwierdzenia walnego zebrania PZPN, głosowali wszyscy delegaci z wyjątkiem Ruchu.

Ewa Runge

Francuzi pasjonują się narciarstwem

„Ski français"

Narciarstwo było sportem luksusowym, sportem snobów — książąt; arystokratą wśród szarej braci sportowej czuł się narciarz. Dziś narciarstwo jest najpopularniejszym ze sportów, nad którym Państwo czuwa, a Kościół mu patronuje. Dziś, gdy cały kraj, od kolebki do grobu, zapełnia śnieżne pola, by szukać na nich zdrowia, przyjemności, beztroskiej radości, narty zaawansowały do rangi sportu narodowego. Mężczyźni, kobiety, dzieci, z jednakowym entuzjazmem, wszyscy równi wobec przeczystej bieli oddają się temu najmilszemu ze sportów. U stóp wzgórza spotykają się wszystkie klasy społeczne: wielcy i maluczcy, bogaci i ubodzy; słabi i mocni, asy i początkujący. Wszyscy są równi sobie na szczytach górskich. Narciarstwo — to sport nawskroś demokratyczny, dlatego tak przyjął się i zadomowił w naszym kraju".

Powyżej przytoczone słowa, wypowiedziane na otwarciu narciarskich mistrzostw Francji przez prezesa Franc. Zw. Narc. — tak świetnie obrazują rozwój i znaczenie narciarstwa na terenie Francji, że więcej dodać czy ująć wydaje się zbytecznym.

Francuzi ogarnięci „białym szaleństwem" przystąpili racjonalnie do szerzenia wśród mas białego sportu.

Emil Allais, pierwszy inicjator i krzewiciel nowoczesnego narciarstwa, stworzył specyficzny styl francuski, który cechuje ogromne wychylenie do przodu i przeniesienie ciężaru ciała na palce zarówno przy zjeździe, jak i przy ewolucjach.

Metoda ta jest zresztą wyznawana nie tylko we Francji, lecz na całym globie, wszędzie, gdzie tylko dociera błogosławieństwo zimy.

Francuska Narciarska Szkoła Narodowa, założona przez Allais, mająca dziesiątki swych „filii" we wszystkich ośrodkach zimowych daje możność racjonalnego opanowania postępu podstawowych zasad narciarstwa, by przez szereg kolejnych wtajemniczeń doprowadzić swych pupilów do klasy narciarzy międzynarodowych. Skutki zresztą zarówno systemu, jak i pracy Allais nie dały długo na siebie czekać. Rok 1938 jest rokiem wielkich triumfów. W Engelbergu mistrzem świata zjazdowym zostaje uczeń Allais — James Coutet — zaś kombinację alpejską wygrywa sam wielki nauczyciel bohater sportowej Francji — Allais.

Największym atutem francuskiego narciarstwa to młody narybek; — gdy Allais opuści szeregi czynnych sportowców, na jego miejsce będzie paru następców, którzy jeszcze nie dorównują mistrzowi w lekkości jazdy, w elegancji stylu, lecz technicznie są bliscy jego klasie, a nawet biją jego rekordy, jak to miało niedawno miejsce na biegu zjazdowym w Morzine, gdzie 18-letni Aquel poprawił czas przejazdu o 2 sekundy.

A teraz krótki szkic sylwetek asów narciarstwa francuskiego.

Emil Allai jest dwukrotnym mistrzem świata w kombinacji alpejskiej i zjazdowym o Puchar Kandaharu. Milczący i spokojny, niechętnie udziela wywiadów, unika szerszego towarzystwa, jedynie na nartach, wśród olbrzymich gór, przy boku swej żony Georgette czuje się dobrze, staje się rozmowny i jego jodlowanie odbija się wesołym echem od ośnieżonych szczytów.

Pierwsze mistrzostwo świata w Chamonix w r. 1937 zdobył Allais ze skręconą kostką i po nieprzespanej nocy, spędzonej u łoża swej niebezpiecznie chorej narzeczonej.

Sezon zimowy 1938 roku zastał Allais dziwnie wykolejonego. Mówiono, że cierpi na gruźlicę, inni twierdzili, że ma początki rozstroju nerwowego. Emile blady, nerwowy, często bez powodu gniewny — przypatrywał się treningowi swych uczniów i kolegów — narzekając to na ból nerek, to migrenę. Na 2 tygodnie przed mistrzostwami Allais zniknął z oczu swych przyjaciół, by w przededniu zawodów w Engelbergu zjawić się w pełni formy i optymizmu życiowego. Mówiono, że zioła pewnego znachora, a jeszcze bardziej rychły termin ślubu z ukochaną Georgette uzdrowiły go. I znów Allais został mistrzem świata...

A w tym roku? — Allais jest niezdecydowany: wybiera pomiędzy laurami na FISie, a koniecznością prowadzenia swej szkoły, którą na okres paru tygodni trudno mu opuścić.

Za to medale i wyróżnienia zbierać będzie w Zakopanem syn górala z pod Chamonix 17-letni James Couttet, sympatyczny chłopiec, który każdą wygraną cieszy się jak małe dziecko. Dobrze poinformowani twierdzą, że po zdobyciu mistrzostwa świata w biegu zjazdowym na rok 1938 James płakał z radości, wsparty o ramię swego nauczyciela — Allais.

Starszy jego brat — George — jest mistrzem Francji w skokach, zaś siostra Marie - Souise w klasie francuskich juniorek zajmuje zaszczytne jak na 13-letnią panienkę— trzecie miejsce.

O Souisie Aguel wiemy jeszcze mało, bo dał o sobie znać dopiero parę tygodni temu, bijąc rekord Allais. Jest z zawodu lotnikiem — przydział pułkowy — baza operacyjna w Lionie. Usłyszymy o nim w Zakopanem napewno!

Panie miały w tym roku dziwnego pecha. Zgrupowane pod opieką René Laforgue na obozie treningowym — stanowiły raczej kandydatki na wydział chirurgiczny, niż reprezentacyjną ekipę narciarską. Zwichnięte kostki, wybite palce, woda w kolanach — oto rezultat treningów w fatalnych warunkach śnieżnych. Ale panie dziel nie wszystko przetrzymały i na ostatnich eliminacjach wykazały się nie tylko z dobrze wyleczonymi urazami, ale i doskonałą formą.

Najlepsza z nich to Nicole Vilan, 23-letnia paryżanka, studentka 2 roku filozofii — która wygrała bieg zjazdowy o mistrzostwo Francji i jest typowana na jedną z rywalek fenomenalnej Niemki Christel Cranz, triumfatorki olimpijskiej z Garmisch Partenkirchen. Ekipa francuska przyjeżdża do Zakopanego już w pierwszych dniach lutego, by zapoznać się z nowymi terenami i wycyzelować swą formę na wielką batalię popisową.

St. Petkiewicz

LEKKA ATLETYKA FRANCUSKA

Od Jeana Bouin po Goix

Francja należy do rzędu najsilniejszych państw lekkoatletycznych w Europie. Rok rocznie rozgrywa mecze międzypaństwowe z „wielkimi" przeciwnikami: Niemcami, Anglią, Finlandią. Szereg ostatnich spotkań z tymi państwami przyniósł porażki. Dopiero w roku ubiegłym Francja wygrała z Finladią. Ta trudna walka z wielkimi przeciwnikami nie przynosiła pożądanych korzyści i tym należy tłumaczyć nawiązanie przez Francję kontaktów z państwami, stojącymi na równym z nią poziomie (Włochy, Polska).

Francja posiada jednak najstarsze tradycje sportowe na kontynencie europejskim. Z danych zaczerpniętych z „kartek z historii biegu" A. Rekszy, drukowanych przed paroma laty na łamach „Przeglądu Sportowego" dowiadujemy się, że pierwszy klub lekkoatletyczny powstał już w roku 1882. Był to Racing Club w Paryżu. Założyciele tego klubu pozazdrościli koniom wyścigowym, postanawiając urządzać wyścigi piesze na podobieństwo wyścigów konnych. Członkowie Racing Clubu podzieleni zostali nawet na poszczególne „stajnie" z odrębnymi barwami. W r. 1886 odbyły się już pierwsze zawody międzypaństwowe w biegu z udziałem biegaczy Anglii, Francji i Belgii. Zwyciężyli wówczas bezapelacyjnie Anglicy. Bieg ten stanowił podwalinę do dziś dnia rozgrywanego „cross'u" 5 narodów. Pierwsze oficjalne mistrzostwa Francji odbyły się w roku 1888. Mistrzostwa te składały się wyłącznie z biegów. We Francji rozpoczął też swą pracę wskrzeszenia starożytnych Igrzysk Olimpijskich bar. Pierre de Coubertin, tamże odbywały się pierwsze międzynarodowe kongresy sportowe. Francja była dwukrotnie organizatorką Igrzysk Olimpijskich (1900 i 1924 r.).

Jak zresztą na całym świecie, tak i we Francji lekka atletyka rozpoczęła swój żywot od biegów. W biegach też Francuzi odnosili swoje największe sukcesy międzynarodowe, Francuzi mieli biegaczy, którzy niejednokrotnie pokonywali Anglików, uchodzących za największych specjalistów w biegach średnich i Finów, najlepszych biegaczy dystansów długich.

Pierwszym wielkim biegaczem Francji był Jean Bouin, który przez długie lata był rekordzistą świata w biegu godzinnym. Pamiętny jest jego słynny bieg z Hannesem Kolehmainenem na Olimpiadzie w Sztokholmie w r. 1912. Obaj biegacze osiągnęli czasy, które nie wiele odbiegały od czasów, osiąganych obecnie przez najlepszych biegaczy świata. Kolehmainen wygrał bieg 5 km w 14:36,2, Bouin był drugi — 14:36,4. Wynik biegu pozostawał do ostatnich metrów niepewny, obaj biegacze pobili swoje rekordy życiowe o wiele, wiele sekund. Niestety, wojna światowa położyła kres karierze sportowej słynnego Francuza. Jean Bouin poległ na polu walki.

Po wojnie światowej Francja miała drugiego wielkiego biegacza. Guillemot na Olimpiadzie w Antwerpii (1920) wygrał bieg na 5 km i pokonał Paavo Nurmiego. Co prawda były to początki wielkiej formy Finna, jednak już w Antwerpii Nurmi, poza tym, że był drugi na 5 km, wygrał 10 km i bieg na przełaj.

Potem przyszedł Jules Ladoumegue. Ladoumegue, choć nie wygrał żadnej Olimpiady (w Amsterdamie, był drugi za Larvą, w Los Angeles był już zdyskwalifikowany), jednak w latach 1930 — 1933 posiadał wszystkie rekordy świata na dystansach od 1000 metrów do 2-ch km. Można by przypuszczać, że gdyby nie owa dyskwalifikacja w okresie najświetniejszej formy, rekordy Ladoumegue'a na długo pozostawałyby na liście światowej. W roku 1933 (po dyskwalifikacji) Ladoumegue chcąc odzyskać utracony rekord świata na 1500 m 3:49,2 sek., próbuje samotnie zaatakować rekord Bontrona (3:48,8). Na przestrzeni 7 dni (14, 18, 21.X.33) biegnie samotnie ten dystans w czasach 3:50,8, 3:51,8 i 3:50,4 sek.! Tak się skończyła kariera największego biegacza Francji. Z doskonałych biegaczy dystansów średnich miała Francja jeszcze Sera Martin'a, który w r. 1928 ustanowił rekord świata na 800 m 1:50,8 sek.

Z biegaczy ostatnich lat musimy pamiętać o Rochardzie, mistrzu Europy w biegu na 5 km w roku 1934. Rochard w Turynie na mistrzostwach Europy pokonał elitę biegaczy Finlandii i znajdującego się wówczas w doskonałej formie naszego Kusocińskiego. Dziwnym zbiegiem okoliczności Rochard wówczas osiągnął ten sam czas, co Jean Bouin w Sztokholmie. Ale nie tylko w biegach Francja posiadała doskonałych zawodników.

Skoczek wzwyż Lewden był przez czas bardzo długi rekordzistą Europy. Lewden skakał (198 cm) 27 cm ponad swój wzrost. Geo Andre był swego czasu najlepszym biegaczem przez płotki w Europie.

Po dyskwalifikacji Ladoumegue'a prasa, która stawała w jego obronie, zrobiła dużo w sensie obniżenia zainteresowania szerokiej publiczności lekką atletyką. Dopiero wielkie biegi Rocharda, a w roku ubiegłym Goix, którego Francuzi uważają za następcę Ladoumegue'a, powoli zdobywają znowu publiczność.

Aczkolwiek francuska lekka atletyka ma zaledwie parę wielkich nazwisk w chwili obecnej, to jednak jej poziom ogólny jest doskonały.

Leszek Bartelski

Mistrzowie tenisa



Boussus (na lewo) i Bernard, z tyłu słynny tenisista Jean Borotra

Francja ma w historii tenisa złotymi zgłoskami zapisaną kartę. Przemawia do nas z kart historii patosem nazwisk wielkich mistrzów, których dźwięk ma w sobie wartość symbolu, będąc jednocześnie synonimem najwyższego kunsztu i opanowania tajników gry. Jean Borotra, Rene Lacoste, Henri Cochet i Jaques Brugnon — oto nazwiska tych, którzy łańcuchem swoich zwycięstw rozsławili imię Francji, wzbudzając dzięki duchowi rycerskości powszechne uznanie i podziw.

Znały ich korty całego świata — od trawiastych kortów Wimbledonu po ceglaste korty Południowej Afryki, Australii, czy Ameryki. Zarówno Jankesi, jak i zimnokrwiści Anglicy, czy też flegmatyczni potomkowie Holendrów Burowie z zapałem oklaskiwali zwycięstwa Francuzów, składając im gorącymi oklaskami podziękowanie za mistrzowską grę. Po przez Dublin, Rzym, Kopenhagę, Budapeszt, Eastburnie (Płd. Afryka), Pragę, Barcelonę, Wiedeń wiodła ich triumfalna droga do zwycięstwa — do zdobycia pucharu Daisa w 1928 roku.

Po rozegraniu szeregu wyczerpujących walk we wszystkich krajach świata, po przebyciu wielu setek tysięcy kilometrów, po siedmiokrotnym sforsowaniu Atlantyku, po pierwszych dniach niepowodzeń, kiedy Ameryka prowadziła 2:1, nadszedł dzień, na który od dawna oczekiwała wielka „czwórka muszkieterów" — Borotra, Brugnon, Cochet i Lacoste. Pucharu bronił najsłynniejszy tenisista świata William Tilden wraz z nieustępującym mu, lecz mniej efektownym w grze małym Kalifornijczykiem Johnstonem. Lacoste—Johnston 1:0, Tilden — Cochet 1:1, Tilden Hunter — Borotra Brugnon 2:1 dla Ameryki! Lacoste — Tilden 2:2! Cochet, Cochet allez! Trzy nastotysięczna widownia niecierpliwi się, denerwuje, pobudza do walki — Cochet prowadzi, wygrywa!

Zwycięstwo!

Pani Cochet zemdlała, Pierre Gillou, kierownik ekspedycji przysiadł z wrażenia, Brugnon wypuścił z ust fajkę i można sobie wyobrazić jak Borotra udowadniał swój przydomek „latającego Baska" — pisał Lacoste. Wręczenie pucharu, tysiące zdjęć en face, trois-quarts, z posłem francuskim, z fun-

(Dokończenie na str. 4-ej)

Słynny narciarz wycofuje się:

Emil Allais nie będzie w Zakopanem

(Od naszego stałego korespondenta)

Sprawa Allais'a

Słynny narciarz świata Emil Allais oświadczył, że do Zakopanego na mistrzostwa FIS-u nie przyjedzie. Daremnie więc rzesze wielbicieli wielkiego narciarza wyczekiwać będą na start swego pupila. Daremnie! Emil Allais wybrał:



Emil Allais

— Miałem do wyboru — powiedział — albo szkoła, albo mistrzostwa. Wybrałem pierwsze — dodaje mistrz świata z uśmiechem. Przez twarz przechodzi mu grymas cierpienia. Na moment. Potem oblicze mistrza świata wypogadza się i zastyga w uśmiechu.

— Zresztą — zaczyna po chwili motywować, niemal usprawiedliwiać swój krok — mistrzów świata jest wielu. Wcześniej, czy później, za rok czy za pięć, muszę stanąć oko w oko z życiem, zwykłym szarym życiem, sława minie... nie wolno mi dla kariery sportowej zmieniać planu mego życia.

Emil Allais porzuca sport! Wiele tysięcy Francuzów nie będzie już więcej wyczekiwać z drżeniem serca na wyniki zawodów, w których bierze udział On, mistrz świata: Emil Allais!

Gdy wystukuję na maszynie to nazwisko, przychodzą mi na myśl wszystkie triumfy słynnego narciarza. Allais jest już zmęczony. Musi odejść—za rok czy za pięć przyjdą inni, młodsi, lepsi, swymi wynikami i zwycięstwami przygłuszą sławę niepokonalnego mistrza. Świat cały jak ongiś pasjonował się zwycięstwami wielkiego Francuza, tak dzisiaj zapomni o nich.

Może lepiej, że Emil Allais odchodzi w glorii sławy, niż by miał odejść w szarzyźnie zapomnienia?

Może lepiej, bo go nie spotka los wielkich mistrzów, którym zamiast sławy pozostaje jedynie rozczarowanie i gorycz?

(Dokończenie na str. 4-ej)

Wiktor Junosza

KOLARSTWO — UKOCHANY SPORT FRANCUZÓW

Francja dziś nie wodzi już reju w żadnej bodaj dyscyplinie sportowej. Tłómaczy się to m. in. specyficznym stosunkiem do sportu — bardzo skąd inąd zdrowym — nakazującym traktować go jaką miłą i pożyteczną rozrywkę, która jednak nie może wchodzić w paradę zajęciom poważniejszym. Dlatego, zawodnicy francuscy zwykli są trenować tylko wtedy i tyle, ile się im podoba, a startować tylko wtedy, gdy się im chce. Zebrać francuskich lekkoatletów, czy piłkarzy w takim czy innym „obozie treningowym" — to rzecz nie do pomyślenia, której zresztą we Francji nikt nawet nie próbowano — poza ekspedycją olimpijską, oczywiście.

Taki stan rzeczy nie przeszkadza, że Francja posiadała i jeszcze dziś posiada zawodników o najwyższej klasie międzynarodowej. Sport ma tam bowiem bardzo dawną — najdawniejszą wśród państw kontynentu tradycję — i jest uprawiany masowo.

Podczas gdy prawie we wszystkich innych krajach ruch sportowy zaczął się od piłki nożnej, która do dziś zresztą w większości wypadków zachowała prymat, we Francji sprawa przedstawiała się inaczej. Początki sportu francuskiego stały pod znakiem kolarstwa i ta właśnie dyscyplina cieszy się największym wzięciem i największą sympatią nad brzegami Sekwany. Dość powiedzieć, że liczba zrzeszonych kolarzy - zawodników wynosi około miliona, wliczając tu obok amatorów, bardzo licznych „niezależnych" i kilkuset zawodowców.

Zawody kolarskie zaczęto organizować we Francji bardzo już dawno. Dość powiedzieć, że już w roku 1869 urządzano zawody na torze, a olbrzymi wyścig szosowy Bordeaux — Paryż (620 km) rozegrano po raz pierwszy w r. 1891.

Nazwiska asów toru i szosy głośne były na cały kraj, podniecając ambicje młodzieży. Wyczyny Trousselier, który przestrzeń Bordeaux — Paryż przebył w ciągu niespeł. 16 godz., Quessont, który olbrzymią trasę Paryż—Brest — Paryż (1200 km) przejechał w roku 1892 w 71 godzin—zdobyły im sławę wszechświatową. Równocześnie słynęli świetni torowcy: Jacquelin, Friol, niezrównany taktyk Poulain.

Największą jednak popularnością zaczęło się cieszyć kolarstwo z chwilą, kiedy zaczęto organizować doroczny wyścig szosowy dookoła Francji — „Tour de France".

Początkowo ograniczono się do skromnych kilku etapów w terenie płaskim. Później, trasa objęła Pireneje, Alpy, Wogezy. „Tour de France" rozgrywany na przestrzeni 5 i pół tysięcy kilometrów, każący zawodnikom wznosić się — w ciągu jednego etapu, z nad brzegów Morza Śródziemnego do 2.600 metrów nad jego poziomem, każący w ciągu jednego etapu pokonywać cztery zrzędu szczyty pireneańskie — stanowi prawdziwą epopeję siły fizycznej i siły woli, wzbudzającą niekłamany podziw dla „tytanów szosy", zwanych inaczej „wędrownymi nauczycielami energii".

Na trasie „Tour de France" spotykają się rok w rok najwybitniejsi zawodnicy wszystkich krajów. Obok mistrzów francuskich: braci Pelissier, Leduc'a, Magne'a, Speichera, okryli się w nim sławą Włosi Bottechia i Bartali; Belgowie: Thys, Maes, szereg kolarzy hiszpańskich, niemieckich, luksemburskich, holenderskich, szwajcarskich.

Na torze, obok wymienionych już mistrzów z dawnych lat, zabłyśli jako gwiazdy najpierwszej wielkości czterokrotny mistrz świata Michard, rekordzista świata na 200 m (11,4 sek.), Schilles, Gerardin, Faucheux... W wyścigach za motorami głośni byli lub są Guignard, Seres, Darragon, Wambst, Lacqehay — dziesiątki innych.

Amatorzy francuscy wielokrotnie zdobywali mistrzostwa świata i mistrzostwa olimpijskie na torze i na szosie, podtrzymując renomę Francji, jako największej w świecie potęgi kolarskiej. Widywało się ich nieraz w Warszawie na torze Dynasowskim, gdzie święcili oni wspaniałe triumfy, wykazując się niezrównaną sprawnością techniczną, mistrzowską taktyką i pięknym duchem sportowym.

Mjr. W. Dobrowolski *Szermierka III*

SZPADA

UBIÓR I PRZYBORY

Szpadę również zaliczamy do broni kolnej. To znaczy te tylko trafienia są ważne, które zadane zostały jako pchnięcia. Miejsce trafień w odróżnieniu od floretu jest nieograniczone, t. zn. ważną jest cała powierzchnia ciała walczącego, począwszy od wielkiego palca u nogi, a skończywszy na czubku głowy.

Dla łatwiejszego uchwycenia przez sędziów, który z dwóch walczących został wcześniej trafiony i dla wyeliminowania pozornych pchnięć, (lekkie muśnięcia końcem klingi), które się nie uznaje za trafienia, wprowadzono aparaty sygnalizacyjne.

Wszystkie spotkania (zawody) o charakterze oficjalnym, muszą się odbywać przy zastosowaniu tych aparatów elektrycznych.

Na aparat ten składa się przede wszystkim sam aparat sygnalizacyjny, posiadający dzwonek alarmowy i 2 lampki elektryczne, odpowiadające dwum walczącym. Aparat z dokładnością 1/35 sekundy, wykazać musi, który z dwóch walczących wpierw został trafiony (zapalenie się lampki). Poniżej tego czasu aparat wykazywać musi trafienie obopólne, jednoczesne, (zapalenie obu lampek), t. zn. obu zawodnikom zalicza się po trafieniu. Zawodnicy połączeni są z aparatem zapomocą przewodników (sznur), który umocowany w pasie przechodzi pod kurtką przez plecy i prawy rękaw, kończąc się wtyczką, którą przed walką umieszcza się w odpowiednim gniazdku szpady elektrycznej.

Dla łatwiejszego poruszania się zawodnika sznur okręcony jest na bębnie, ustawionym z tyłu planszy, który automatycznie umożliwia wydłużanie lub skracanie sznura.

Przy trafieniu przeciwnika następuje nacisk na kolec (pointes d'arrets), powodujący reakcję aparatu sygnalizującego (zapalenie się lampki po stronie walczącego i dzwonek).

Siła nacisku na kolce musi być większa, niż 750 gramów, gdyż ten ciężar położony na koniec szpady (kolce) nie powoduje jeszcze „kontaktowania", t. zn., że sprężyna pomiędzy kolcami (pointes d'arrets) a końcem szpady nie ugina się. Tego rodzaju reakcja aparatu usuwa wszelkie niedokładności w trafieniach, jak muśnięcia, lekkie dotknięcia, czy też uderzenia.

Sprzęt i strój

1. Szpada składa się z a) klingi, b) oprawy i c) muszli (kosza).

a) **Klinga** służy jedynie do pchnięć. Posiada przekrój trójkątny, jest prosta i długość jej nie przekracza 900 mm.

b) **Oprawa** składa się z głowicy, naśrubka i przywiązki. Oprawa obejmuje trzon (uchwyt) Przywiązka przy trzonie służy do obowiązkowego przywiązania trzona szpady do ręki, a to w tym celu, by walczący nie mogli w czasie walki „rzucać" szpady na przeciwnika.

c) **Kosz**. Lepiej odpowiada temu termin-muszla. Otóż kosz ten znajduje się przy uchwycie i stanowi ochronę, a zarazem osłonę dla walczącego. Jest on wypukły w stronę upla, przez co ochrania rękę zawodnika. Kosz ma powierzchnię gładką, by nie zatrzymywać zadanych pchnięć.



Mecz floreta pomiędzy Francją i Węgrami.

d) **Kolce** (pointes d'arrets). Na końcu szpady, dla łatwiejszego uchwycenia okiem zadanego pchnięcia, zakłada się na nasadzie metalowej „pointes d'arrets" o trzech lub czterech kolcach, nie dłuższych jak 5 mm.

W razie używania aparatów elektrycznych, zastępuje się zwykłą szpadę — szpadą elektryczną z powodzeniem.

Pięść i mózg

II.

W poprzednim artykule obiecałem — na użytek młodych naszych pięściarzy, przedstawić kilka rozwiązań taktycznych, wskazujących niezbicie, że nie zawsze wygrywa na ringu ten, kto jest fizycznie silniejszy; zwycięstwo bardzo często darzy swymi względami słabszego, jeśli tylko umie on szybciej i dokładniej myśleć, jeśli bronią jego nie tylko twarda pięść, ale i sprawnie funkcjonujący mózg.

Gdy 15-letni wówczas Carpentier po raz pierwszy stanął do walki o tytuł mistrza Europy (należał wówczas do wagi lekkiej), nikt nie odważał się dawać mu szanse zwycięstwa. Mocny, zaprawiony w ciężkich bojach Anglik Jim Sullivan wydawał się przeciwnikiem nie do pokonania dla francuskiego półdzieciaka.

Pierwsza runda wydawala się potwierdzać opinię fachowców. Mały Georges dostawał zdecydowanie baty. Gdy jednak zatroskany manażer Descamps skoczył w przerwie na ring, Carpentier powiedział mu, ze zdumiewającą pewnością siebie — Zaraz wygram nokautem!

Istotnie, gdy tylko gong obwieścił wznowienie walki, po kilku zaledwie złożeniach Anglik padł, rażony jak piorunem. Prawa pięść Carpentiera padła na jego odsłonięty podbródek z taką łatwością, jak gdyby w ogóle nie myślał o obronie.

Carpentier natychmiast wyjaśnił przyjaciołom, jak uzyskał zwycięstwo:

— Podczas pierwszej rundy, którą poświęciłem na pilne obserwowanie przeciwnika, zauważyłem, iż ma zwyczaj stałego podawania naprzód i cofania lewej ręki, na którą chciał zwrócić moją uwagę, by zaskoczyć mnie tym łatwiej prawą. To spostrzeżenie mi wystarczyło. Zdałem sobie sprawę, że jeśli zadam własną prawą cios dokładnie w momencie, kiedy przeciwnik rozpoczyna ruch lewej ręki naprzód, nie będzie on w stanie się zasłonić: mózg wyda bowiem jeden po drugim dwa sprzeczne rozkazy: naprzód i do tyłu, dla obrony. W rezultacie skasują się one wzajemnie i pięść pozostanie nieruchoma! Tak się w istocie stało: zauważyłem napewno, że moja prawa nie znalazła po drodze żadnej przeszkody!

Carpentier, który miał się niebawem stać największym strategiem, jakiego znają dzieje ringu, był wtedy jeszcze za młody, by pozwolić sobie na pouczanie starszych. W dziesięć lat później zakończył niezawodnie swe wyjaśnienia następującym „morałem":

— Boks polega nie na wzajemnym obijaniu się do skutku, a na tym, by wyszukiwać luki w pancerzu przeciwnika i w odpowiedniej chwili atakować wszystkimi siłami jego najsłabsze miejsce. Chodzi nie o to, by bić, a o to, żeby trafiać i trafiać dobrze!

Wiktor Junosza

Allais nie przyjedzie

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Polscy piłkarze we Francji

Mecz paryski Polska — Francja przywiódł na myśl liczne rzesze Polaków, którzy zasilają licznie pierwszo- i drugoligowe zawodowe drużyny piłkarskie. Występuje ich naprawdę wielu, reprezentując wcale niezły poziom techniczny. Pisma francuskie podają dokładny spis Polaków-emigrantów, oczywiście „asów", gdyż należy nadmienić, że ponadto wielu Polaków na północy Francji gra zarówno w amatorskich, jak i zawodowych drużynach francuskich, nie reprezentujących zbyt wysokiego poziomu. Czyż nie warto by urządzić kiedyś mecz Liga polska contra Emigranci?

Oto nazwiska Polaków, grających w zawodowych ligowych drużynach Francji:

LILLE — Laurent,
FIVES — Juźnicki, Nowicki, Waggi,
SAINT-ETIENNE — Snella,
MARSEILLE — Olej,
R. C. PARIS — Louys,
METZ — Ignace,
LENS — Calmski, Stanis, Lewandowski,
LE HAVRE — Powolny,
EXELSIOR — Urbaniak, Kup
R. C. ROUBAIX — Lysewski,
COLMAR — Wośniak,
ARRAS — Casimir, Szombeki, Youpec, Miko,
CHARLEWILLE — Kubasiak,
LONGWY — Czubach, Wasilewski,
DIEPPE — Jankowski.

25 graczy, dwie pełne drużyny zawodowe mamy poza granicami Polski, a z nich sześciu reprezentowało już kilkakrotnie barwy francuskie. Jesteśmy bezsprzecznie narodem talentów, trochę więcej pracy... i trochę bardziej racjonalna opieka, a przyjdą czasy, że bez obawy patrzeć będziemy na odjeżdżającą drużynę do Paryża.

Polska pływaczka

Rząd francuski odznaczył naszą emigrantkę, Janinę Figaniak medalem honorowym za wyratowanie dziecka z kanału. 17-letnia Polka poza odwagą reprezentuje duży talent pływacki i mimo młodego wieku jest czołową zawodniczką francuskiego klubu sportowego w Harnes. E. Ałaszewski

Paryż, w styczniu.

Z boisk SZKOLNYCH

Powstanie MKS-u w Przemyślu stanowi jeden z pierwszych etapów pracy Kuratorium nad organizacją sportu szkolnego na terenie Okręgu Szkolnego Lwowskiego, rozumie się w ramach międzyszkolnych klubów sportowych. Praca ta, której Kuratorium poświęca specjalną uwagę, rozwija się w dwu kierunkach: a) ujęcia życia i ruchu sportowego młodzieży szkolnej w Okręgu w odpowiednie ramy organizacyjne i b) ugruntowania w samych szkołach (dyrekcje — rady pedagogiczne) świadomości, że zajęcie się szkoły życiem i ruchem sportowym młodzieży jest **koniecznością,** wypływającą z niezaprzeczonych wartości zdrowotnych i społeczno-wychowawczych, tkwiących w sporcie, które szkoła **musi** i **powinna** wydobyć we własnym zakresie, stawiając wychowanie fizyczne i sport na właściwym miejscu w całokształcie swych zadań i wysiłków wychowawczych.

Tak pojęta akcja usportowienia szkoły, (uwzględniając liczne i duże trudności, leżące na jej drodze na terenie poza-szkolnym) z konieczności rozwijać się musi w tempie dość powolnym. Wymaga ona systematyczności i wytrwałości w zdobywaniu terenu etap po etapie i utrwalania osiągniętych, pozornie skromnych wyników. Jakieś drobne niedociągnięcie **cały** wysiłek może wypaczyć lub zniweczyć. To też jakieś większe i frapujące efekty wysiłków Kuratorium w tym zakresie nie prędko dadzą się widzieć. Opierając się jednak na obserwacji terenu, nie bez podstaw twierdzę, że usportowienie młodzieży szkolnej w tutejszym Okręgu w ramach Szkolnych Klubów Sportowych, postępuje niespodziewanie szybko. Zawdzięczać to należy właściwemu zrozumieniu i ustosunkowaniu się do zamierzeń Kuratorium, nie tylko Wychowawców fizycznych i samej młodzieży, ale również i Pp. dyrektorów szkół oraz współpracy, jaką w zakresie organizacji sportu szkolnego deklarują Okręgowe Urzędy W. F. i P. W. (Przemyśl — Lwów), komendanci Okręgowych Ośrodków W. F. (Przemyśl — Lwów) i organizacje sportowe poza-szkolne cywilne i wojskowe (Lwów, Przemyśl, Rzeszów, Sambor).

Na zasadach, podanych wyżej, zorganizowano M. K. S. we Lwowie, na nich oparło organizację M. K. S. w Przemyślu (7.XII.38) i w Rzeszowie (9.XII.38).

W ciągu najbliższych tygodni powstaną prawdopodobnie M. K. S-y w Stanisławowie i Tarnopolu, a nieco później i w innych środowiskach o większej ilości szkół średnich. Prace przygotowawcze w tym zakresie są w pełnym toku.

Celem ułatwienia nowo-powstającym, czy reorganizowanym M. K. S. Kuratorium stara się przyjść — w miarę swoich możliwości — z pomocą materialną w formie przyznawania pewnych sum na zakup sprzętu sportowego itd.

Na zarządy M. K. S. i ich opiekunów nakłada się obowiązek niezwłocznego nawiązywania kontaktu ze „Sportem Szkolnym".

Józef Maź,
Wizytator Kur. Okr. Lw.

RAWICZ

Propaganda Państwowej Odznaki Sportowej, która była zapoczątkowana we wrześniu ubiegłego roku, osiągnęła swoje zadanie. Część społeczeństwa zrozumiała wartość P. O. S. i uważała za swój obowiązek moralny poddać się próbie sprawności fizycznej, stosownie do swego wieku. Oczywiście tam, gdzie mowa jest o wychowaniu fizycznym — **prym dzierży młodzież.** To też największą ilość odznak za sprawność fizyczną zdobyła nasza ukochana młodzież szkolna i poza szkolna.

Ogółem zdobyto nowych i odnowiono za ubiegłe lata — 876 odznak P. O. S.

1. Korpus Kadetów	465
2. Hufce Junaków PW. ZS.	112
3. Szkoła Roln. Bojanowo	104

Z zestawienia wynika, że ta ilość odznak zdobytych (876!) w powiecie rawickim, przyczyni się do dobrego i zaszczytnego miejsca w województwie poznańskim. Tą ilością zamykamy rok ubiegły. Miejmy nadzieję, że z chwilą nastąpienia wiosny roku bieżącego, znajdzie się więcej chętnych, którzy będą chcieli zdać swój egzamin z sprawności fizycznej.

Hertmanowski,
kpt.
Pow. Kom. W.F. i P.W.

Mistrzowie tenisa

(Dokończenie ze str. 3-ej)

datorem pucharu **Drigtem** Davisem, życzenia, telegramy, telefony, wywiady, autografy, zaproszenia— oto nieodzowne rekwizyty zwycięstwa. Triumf wielki, lecz krótkotrwały! Rodziły się nowe talenty, mistrzowie się starzeli i puchar przeszedł następnie w ręce Anglików.

Nie samym zwycięstwom zawdzięczali Francuzi swą sławę. Przyczynił się do tego także tak właściwy Francuzom duch rycerskości, elegancja i wspaniały, porywający dzięki należytemu zespoleniu pierwiastków fizycznych i intelektualnych styl gry.

Dziś sytuacja tenisa francuskiego nie jest godna pozazdroszczenia. Francja, ongiś mająca po czterech tenisistów na światowej liście klasyfikacyjnej, dzisiaj nie przoduje w tenisie. Boussus, Merlin, Bernard, przewidywani na spadkobierców wielkiej sławy poprzedników poprzestali na zapowiedziach. Jedynie **Petra** rokuje jakieś nadzieje.

Tenis kobiecy w dużej mierze może zawdzięczać swój wspaniały rozwój wielkiej Zuzannie Lenglen. Zmarła przed rokiem tenisistka francuska, zastąpiła grę nazywaną „spheristique" — tenisem, wprowadzając do niej elementy sportowe. Kobiecy tenis rozwinął się podobnie jak męski. Zuzanna Lenglen wykazała, że potrafi naśladować męski styl gry w każdym uderzeniu, czy to przy serwisie z ponad głowy, czy też przy grze przy siatce. Pokazała także, że grę mieszaną i podwójną pań powinno się grać na wzór męskiej gry podwójnej. Lenglen była wielokrotną mistrzynią świata, była „boską Zuzanną".

Naprzód odszedł Rene Lacoste, potem Henri Cochet, na zawsze odeszła Zuzanna Lenglen, wycofał się z kortów słynny deblista z Lejską Brugnon, pozostał — chciałoby się rzec: na zawsze! — Jean Borotra, symbol tenisa francuskiego.

Kpt. pilot JANUSZ MEISSNER

23

Rycerz gwiaździstego znaku

Stanisław Wahl klaskał z innymi, zaciąwszy zęby.

— Muszę usiąść bliżej — postanowił. — Żeby tam nie wiem co.

— Dorosz zarobił 192 punkty — powiedział. — Ma szczęście: za pierwszym razem usiadł o 20 metrów dalej, ale liczy mu się lepszy wynik. Pakuj się: jeszcze dwie maszyny, a potem — my.

Prywatniak wsunął się za ster.

— Pełen gaz. Wyłączony.

Sztyft przerzucał śmigło przez kompresje.

— Wolny! — krzyknął.

Zamruczał rozrusznik. Silnik skoczył.

— Dobry znak — pomyślał Wahl. — Siadaj! — zawołał.

Podkołowali do startu. Przed nimi zadzierała ogon jakaś wileńska maszyna. Czekali, grzejąc silnik na małych obrotach. Ktoś lądował tak daleko od chorągiewki, że nawet nie mierzono odległości.

— SP-ARO bez punktów! — zawołano od stolika komisarzy sportowych. — SP-EWK!

— Trzymaj się! — wrzasnął Sztyft, nachylony nad Wahlem.

— Zamknij twarz — odkrzyknął Wahl i dał pełny gaz.

Lotnisko ze wzrastającą szybkością zsunęło się w tył. Pod skrzydła podeszły drzewa, domy, kominy, maszty radiostacji...

Skręt z wiatrem: hangary, barwne samoloty, trybuny z publicznością.

Strzępy obłoków na trzystu metrach wionęły jak łagodna pieszczota jesiennego nieba, musnęły samolot i zostały daleko w tyle.

Nad lotniskiem w ostrym ślizgu na skrzydło szła wileńska maszyna. Pilot wyrównał ją za wcześnie: minęła chorągiewkę, dotknęła kołami ziemi, potoczyła się, stanęła.

— Najmniej 50 metrów — powiedział Sztyft. — Żebyś ty tak nie sknocił.

—Zamknij się nareszcie, bo wyląduję o sto metrów od punktu — zagroził Wahl.

— Zatłukłbym cię na śmierć — odrzekł obserwator.

Zaszli pod wiatr. Nad oznaczonym wapnem kołem, w którego środku tkwiła chorągiewka, Wahl zamknął gaz i natychmiast skręcił o 180 stopni. Schodzili w tył, wolno wytracając wysokość.

Na dwustu metrach pilot obejrzał się. Sztyft chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. W tej chwili maszyna położona ostro na burtę wykonała nowy zwrot o 180 stopni. Mieli teraz koło przed sobą i niecałe 200 metrów wysokości.

Wykręcili w prawo, w lewo i znów w prawo. 100 metrów.

Wahl uważnie śledził wzrokiem odległość, spoglądając raz po raz na wysokościomierz. W pewnej chwili pochylił „Ewkę" na skrzydło i skrzyżował drążek.

Poszła w ślizg.

Zadarł ją wyżej i czekał. Linki nośne grały, pęd powietrza uderzał z boku. Ziemia rosła, rozpłaszczała się pod skrzydłami. Chorągiewka i stolik sędziowski sunęły w polu widzenia między zastrzałami. Gdy znalazły się tuż przy kadłubie, Wahl wyrównał.

— Za wcześnie — powiedział Sztyft.

— Nie: trochę za późno — odrzekł pilot.

Musnęli ziemię. Maszyna potoczyła się naprzód, zwolniła i zatrzymała się przed chorągiewką.

Zmierzono ich.

— 10 metrów! — zawołał komisarz. — Powtarzacie lądowanie?

— Powtarzamy! — odkrzyknął Wahl.

— No, to — start!

Znów wyszli na trzysta metrów i zaczęli schodzić jak przedtem. Wahl nie spuszczał z oka chorągiewki.

Wyrównał trochę wcześniej i leciał nisko, trawersując raz w lewo, raz w prawo. Trzydzieści metrów przed kołem posadził „Ewkę" jednocześnie na podwoziu i płozie.

Toczyła się resztą szybkości. Chorągiewka była tuż blisko.

— Wyłącz kontakt! — ryknął Sztyft.

Śmigło zawahało się i znieruchomiało. Krawędź skrzydła dotknęła drzewca, wywróciła je.. Stanęli. Sypnęły się brawa.

— SP-EWK — 2 metry! — krzyknął komisarz— 198 punktów. Pierwsze miejsce w próbie lądowania.

— All right — powiedział Sztyft, wydychając głośno powietrze z płuc. — Ale mogłeś wyłączyć wcześniej: mielibyśmy 200...

— Za to ty możesz prędzej zapuścić silnik — odrzekł wesoło Wahl. — Fruwaj! Już!

Próba średniej szybkości lotu w obwodzie zamkniętym odbywała się na niewielkim trójkącie: Warszawa — Falenty — Piaseczno.

Wahl i jego towarzysz długo zastanawiali się jaką średnią szybkość podać jako podstawę obliczeń regularności swego przelotu. Podając mniejszą niż można było wyciągnąć z powolnej „Ewki" zapewniliby sobie wprawdzie lot regularny w stu procentach, lecz automatycznie zeszliby na dalsze miejsca w punktacji. Przyjmując większą, mogliby nie osiągnąć wymaganej regularności, co groziło punktami karnymi.

Sprawdzali obliczenia, kalkulowali raz jeszcze czas na całej trasie. Wreszcie zdecydowali się: sto dziesięć kilometrów na godzinę.

Polecieli.

Już na drugim odcinku trójkąta zaczęły ich mijać inne maszyny i mijały odtąd ciągle. Sztyft ze stoperem w ręku sprawdzał czas. Po pierwszym okrążeniu okazało się, że lecą jeszcze zbyt szybko.

— Wolniej, wolniej! Jeszcze wolniej.

W trzecim okrążeniu nad Falentami — 63 minuty 28 sekund.

— Jeszcze za prędko.

— Więc może zwiększyć zadeklarowaną szybkość do 115?

— Niemożliwe: nie damy rady na trasie pod wiatr...

Piąte okrążenie — Piaseczno: 70 minut 22 sekundy.

— Wolniej — mówił Sztyft i sam z kolei poddaje się pokusie:

— Może masz rację? Może podać 115?

Ale już widać metę. Nie czas teraz na zmianę decyzji.

— Brak minuty. Trochę prędzej.

— Brak 50 sekund. Trzydziestu. Dziesięciu — już!

Maszyna minęła białą taśmę, zaszła pod wiatr, siadła.

— SP-EWK: 110 kilometrów na godzinę!—ryknął megafon. — 228 punktów. Jedenaste miejsce w próbie lotu w obwodzie zamkniętym. Ósme miejsce w klasyfikacji ogólnej.

— Ładnie wyglądamy z tą naszą „srebrną strzałą" — powiedział ironicznie Sztyft. — Z pierwszego zjechaliśmy na ósme. Doroszewski jest oczywiście na pierwszym. Drugi Gajek...

— Ba — odrzekł Wahl. — Obaj mają piątki RWD. Szybkość maksymalna 170, a oni zadeklarowali po 168. Ale zobaczymy, co będzie w locie okrężnym.

— Będą rżnęli silniki na śmierć, bo to fabryczne. I przyjdą pierwsi.

— No, a my polecimy po sportowemu — uciął Wahl.

Czarny ołówek wykreśla kurs na mapie. Przecina sieć dróg i linii kolejowych, przepoławia zielone plamy lasów, towarzyszy czerwonym szosom, dzieli niebieskie rzeki gładko przesuwa się przez brązowe góry i prześlizguje się po kreskowanych bagnach.

Czarny cień samolotu płynie po ziemi. Jest raz mały, raz duży. Skacze na dachy domów i rozpłaszczony spada z nich na równinę; gubi się w górskich dolinach, pędzi przez pola, drga na liszajach lasów, pławi się w stawach i jeziorach. Wybiega naprzód, zostaje w tyle lub śpieszy obok maszyny, zależnie od kursu jej lotu.

Lecz oto niebo się chmurzy i cień samolotu blednie. Czernieje znów po chwili, ale na krótko: ciężka kotara szarego deszczu pochłania słońce i cień rozpływa się, kona, znika.

Pogoda psuje się. To okazja dla dobrych pilotów: nie sztuka lecieć, gdy wszystko dobrze się składa. Przez burzę przebiją się tylko najlepsi nie zbaczając z drogi. We mgle odpadną ci, których nie stać na ryzyko. W niskim locie pod dwudziesto metrowym pułapem nie każdy odnajdzie właściwą trasę...

I jeszcze jedno: nerwy. Zmęczone wysiłkiem, osłabłe w walce — odmawiają posłuszeństwa podczas lądowania na etapach. Toteż na długim szlaku okrężnego lotu zostają tu i ówdzie maszyny.

W Białej — Piekut postawił na łbie swoją RWD-4. W Wilnie rozłożyła się warszawska PZL-5. Ktoś na płocie postrzępił skrzydło w Lidzie...

Poza tym trzeba mieć szczęście. Pilot, który go nie ma zupełnie, jest złym pilotem.

Więc w Mołodecznie jeden z poznaniaków oświadczył: Nie będzie silnik pluł mi w twarz! — otarł z oliwy fizjognomię i zostawiwszy samolot z rozwalonym karterem pod opieką mechaników, pojechał do rodzinnego miasta koleją.

Pilot załogi gdańskiej w Baranowiczach zostawił ślepą kiszkę i nadzieję na ukończenie zawodów. Łódzkiej maszynie pękł wał korbowy w Grodnie...

Poczynając od Mołodeczna, Stanisław Wahl i Sztyft lecieli w coraz gorszych warunkach. Do Łucka przybyli z opóźnieniem, po uciążliwej walce z przeciwnym wiatrem, który miótł im w oczy fale gęstego dżdżu.

Potwierdzono im lądowanie i o zmierzchu wystartowali znowu. Lecieli niemal po omacku, przebijając się przez niskie chmury, włóczące się po wierzchołkach drzew. Mrok gęstniał szybko, a 74 kilometry dzielące ich od lotniska w Brodach wydłużały się w nieskończoność.

(D. c. n.)

Redakcja, tel. 8-63-66 i Administracja, tel. 9-95-62, Warszawa, Łazienkowska 3. Nocny telefon redakcji — w środy i niedziele od g. 18-ej — 592-40. Wydz. ogłoszeń: Łazienkowska 3. Tel. 8-63-66.

Prenumerata miesięczna 80 gr kwartalna 2 zł 20 gr. roczna (10 miesięcy) 7 zł Pocztowe konto rozrachunkowe Nr 119. Konto P.K.O. 13.693 Ogłoszenia: 70 gr mm. 1 łam.

REDAKTOR: LECH GÓRSKI — przyjmuje w środy — 12 — 15 WYDAWCA: „KULTURA FIZYCZNA" sp. z ogr. odp.

64 — Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, Warszawa, Okólnik 10, tel. 644-59 i 592-40.



Skocznia pod Krokwią



Kawiarnia na Gubałówce



Kolejka na Kasprowy, gdzie mieści się start biegu zjazdowego FIS-u

Na szaro

Pomiędzy wróżką a prasą

Byłem u wróżki. Wybaczcie mi ten dowód ciemnoty. Są chwile, kiedy nawet wierzący człowiek chce za wszelką cenę wiedzieć prawdę!..

Takie chwile, ba, długie tygodnie przeżywałem z okazji pierwszego międzypaństwowego meczu Polska — Francja.

Od dnia zakontraktowania meczu rósł we mnie strach!.. Z powodu prasy sportowej. Czytam całą prasę od deski do deski. Pragnąłem zwycięstwa naszych chłopaków, ale z dnia na dzień wydawało mi się ono czymś tak nieprawdopodobnym, jak myśl o pobiciu Smoketersów przez reprezentację warszawskich gazeciarzy!

Z powodu prasy! Bo proszę: obrzucono mię fotografiami i życiorysami francuskich asów, tytanów futbolu, nastraszono tajemniczymi pomrukami kapitana francuskiego Związku, który na każdą pozycję ma trzech lepszych niż ten wystawiony, pokazano mi Vandoorena, grającego na fortepianie, pouczono czym handluje ojciec Ben Bareka w Marocco, przypomniano, zaszczytną przegraną Francji 0:1 z mistrzem świata, Włochami — a jako kontrast do tego wszystkiego zawiadomiono mię, że nasz team A przegrał z teamem B, a poza tym okazało się, że Wilimowski ma grypę, Piec zerwane ścięgno, Dytko pójdzie do paki, Góra do ślubu, Gałecki za stary, Mrugalla za młody — słowem, maluczko, a Polskę reprezentować będzie team Otwocka!..

Mój strach ustąpił miejsca przerażeniu!.. Za dnia, jak zahipnotyzowany pożerałem prasę, a w nocy weramon, cybalginę, motopirynę i krople walerianowe... Straszliwa myśl: co będzie jeśli Polska przegra — nie opuszczała mię na sekundę...

W majaczeniach półsennych widziałem swój kraj upokorzony, ludność pędzoną w kajdanach hen! na południe, do afrykańskich plantacyj; widziałem jak czarny Ben Barek w cieniu palmy uczy Wilimowskiego przeboju i kiwania, a Diagne z szatańskim uśmiechem pokazuje Górze zasady płaskiego podania...

Czyż można mi się dziwić, że życie stało się dla mnie czymś straszniejszym od nokautu Kolczyńskiego?..

— Wolę najgorszą pewność, niż to beznadziejne oczekiwanie... — szepnąłem do mojej Ewry i poszedłem do wróżki.

Czy wybaczycie mi teraz, drodzy moi?!

Jeszcze w drodze na Leszno przeczytałem jakieś pismo sportowe; na froncie francusko - polskim trochę się wypogodziło: jako odpowiedź na fotos Vandoorena przy fortepianie, zobaczyłem zdjęcie Wodarza z harmonią! No, to już trochę lżej... Dalej, jako pendant do chorego Pieca zachorował groźny Veinante!.. O, to już znacznie lżej...

Ale, wiem z doświadczenia, że w poczekalni dentysty ząb przestaje boleć, nie dałem się przeto zwieść pozornej uldze i zapukałem do wróżki...

Jakże głupi byłem, tyle czasu męcząc się i gryząc w niepewności!

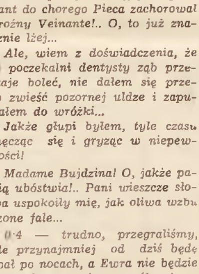
Madame Bujdzina! O, jakże panią ubóstwia!.. Pani wieszcze słowa uspokoiły mię, jak oliwa wzburzone fale...

0:4 — trudno, przegraliśmy, ale przynajmniej od dziś będę spał po nocach, a Ewra nie będzie patrzeć na mnie współczująco, jakby mówiła: „Biedny ty, niewolniku Molocha Sportu! Ledwoś się od alkoholu odzwyczaił, a już wpadłeś w drugi nałóg!"

O, Madame Bujdzina! Ile szczęścia sprawiło jedno twoje słowo...

Rozumiecie teraz, drodzy moi, dlaczego wynik meczu Polska — Francja wcale mię nie zaskoczył? Znałem go, znałem od kilkunastu dni, a zawdzięczam ten fakt... prasie sportowej...

JÓZEF KEMPA



Wielka rzadkość: drzewo smokowe (Wyspy Kanaryjskie)

Z Maroka do Senegalu

Na „Poleszuku"

Spotkanie z „Darem Pomorza". — Historia mr. Ribell

(Korespondencja własna Sportu Szkolnego).



Krajobraz Wysp Kanaryjskich

Wieczorem wychodzimy z Mogadoru przy silnym wietrze. Mijamy skaliste rafy, na których z hukiem rozbijają się białe grzywacze; woda zalewa pokład i po paru minutach jesteśmy przemoczeni.

Zmieniamy kurs więcej na West (Zachód). Wiatr kilkakrotnie zmienia kierunek, wreszcie ustala się passat NO (Pn. Wschód); szybkość wzrasta: przekracza 100 mil na dobę. Po 5 dniach widać pierwszą z wysp archipelagu Kanaryjskiego Fuerteventura. Skaliste grzbiety górskie; mijamy południowe jej brzegi.

Wieczorem przychodzi świeży wiatr; ląd ginie nam z oczu.

Rano ukazują się wysokie szczyty Grand Canarii ze stolicą i portem tej wyspy Las Palmas. Tu mamy spotkać się z naszym statkiem szkolnym „Darem Pomorza", który ma dla nas wiadomości i przesyłki z kraju.

W ciągu kilkunastu dni naszego postoju w porcie malujemy jacht, naprawiamy olinowanie; korzystając z uprzejmości naszego konsula, p. Antonio Aersta, zwiedzamy w jego towarzystwie wyspę.

Wyspy Kanaryjskie są pochodzenia wulkanicznego, o wymarłych szczytach, sięgających 3900 m na Teneryfie. Położone w strefie passatów, mają klimat b. łagodny: 18--24 stopnie C. przez cały rok. Plantacje bananowe są głównym źródłem dochodu ich mieszkańców; poza tym sadzi się dużo pomidorów, kartofli, mniej winogron. Plantacje położone są w dolinach prawie stale wyschłych strumieni; nawadniane są sztucznie. Na zboczach gór celem ich wykorzystania porobiono tarasy, z boku obmurowane, sadzi się na nich przeważnie kartofle, które dają plon najmniej dwukrotnie. Ludność, której jest przeszło pół miliona, to Hiszpanie, mający w sobie domieszkę krwi Ganchów, pierwotnych mieszkańców wysp. Są usposobienia łagodnego, na co w dużej mierze wpływa klimat.

22.XI. wchodzi do portu „Dar Pomorza". Składamy wizytę komendantowi, kpt. Kowalskiemu. Jesteśmy przez niego bardzo serdecznie przyjęci. Spotykamy starych przyjaciół z Gdyni, z nimi spędzamy cały wolny czas. Odbywamy wycieczkę do Arucas, największych plantacyj bananowych na wyspie, drogami asfaltowymi, które mogą służyć wielu europejskim krajom za wzór; licznymi serpentynami obiegają one szczyty, by opaść za chwilę w dolinę. Krajobraz nadzwyczaj malowniczy: strome, nagie skały lub warstwami zastygła lawa, w dole olbrzymie liście bananów z wielkimi kiśćmi owoców; kilometrami ciągną się plantacje bananów, poprzerywane mniejszymi skupieniami pomarańcz, czy winogron. W skalistych zboczach wykute jaskinie są zamieszkałe przez biedniejszą ludność.

Obok nas stoi na kotwicy kilka jachtów, z tych dwa zasługują na specjalną uwagę: „Oscar Tibring", norweski jacht (podobny do „Teddy" Tammbsa), udający się via Panama — California do Sydney i drugi angielski — „Reine d'Arcor". Z tym ostatnim zapoznaliśmy się bliżej. Jest to 50 stopowy statek rybacki, budowany w Bretanii, dawniej służył do połowu ostryg. Obecny jego właściciel, Mr. Branche, podróżuje z żoną, 14-letnią córką, 12-letnim synem; pozatem zabrał 5 amatorów przygód, którzy opłacają po 50 £ za przejazd z Europy do Australii; jest pośród nich 2-ch brodatych skautów, korespondent, fotograf — wszystko Anglicy, tylko jeden Łotysz z pochodzenia — Mr. Ribell, nawigator jachtu. Pokazywał on nam swe przyrządy: sekstans, wykonany przez siebie; byłby to cenny eksponat do muzeum morskiego. Sądziłem, że był pewno oficerem marynarki rosyjskiej, okazało się jednak co innego. Fred Ribell jest jednym z samotnych żeglarzy, który na 18-to stopowej łodzi przebył Pacyfik. Oglądamy jego zdjęcia z Sydney, Samoa, Hawajów, Kalifornii, wycinki gazet, książkę wydaną po łotewsku, której tłumaczenie angielskie wkrótce się ukaże, zdjęcia z nieznanym w Polsce podróżnikiem amerykańskim, Mr. Pigeont, który odbył podróż naokoło świata na podobnym jachcie, książkę tegoż z dedykacją autora. Mr. Ribell mieszkał w ciągu 25 lat w Sydney z żoną. Po kilkoletnim pożyciu żona opuściła go — to było powodem, że postanowił zerwać z dotychczasowym trybem życia i szukać zapomnienia w samotnej podróży wśród wysp Oceanu Spokojnego. Nie miał dotąd nic wspólnego z morzem; zaczął uczyć się nawigacji w Bibliotece Publicznej w Sydney: chodził tak długo, dopóki wiedza jego nie była dostateczna. W tym czasie kupił jacht za 15 £, nazwał go „Elaine" — imieniem swej żony. Był to slup 18-to stopniowy półpokładowy. Ponieważ środki jego były niewielkie, wykonał sam sekstans, log, porobił kopie potrzebnych mu map. Wyruszył z Sydney w grudniu 1931 r. Dopiero po wyjeździe zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i trudności, na jakie się naraża. Pierwsze dni żeglugi były dla niego bardzo ciężkie, później oswoił się z nowymi warunkami; w czasie dobrej pogody uzupełniał swe wyszkolenie praktyczne. Wyspy Fidżi były pierwszym miejscem postoju. Krajowcy przyjęli go bardzo gościnnie, spędził tam 6 tygodni. Następnie po kilka tygodni spędził na Samoa, Wyspach Niebezpiecznych, Wyspach Bożego Narodzenia, Hawajach i po roku przybył do Kalifornii; był na lądzie ... miesięcy.

Podróż ta nabiera specjalnej wartości, jeśli weźmiemy pod uwagę skromne środki, jak też i osobę bohatera tej wyprawy, którego doświadczenie przed wyprawą w porównaniu ze starymi wilkami morskimi, jak Slocum, Voss było minimalne. Po przyjeździe do U. S. A. zapragnął odwiedzić swą rodzinną Łotwę, lecz po 2-letnim pobycie w ojczyźnie, w czasie którego wybudował większy jacht „Selga" — 23 stopowy, wyruszył z zamiarem pójścia do Sydney. Po przejściu jednak Bałtyku i Morza Północnego burza wyrzuciła go u wybrzeży Anglii, a później w Zatoce Biskajskiej „Selga" wykonała obrót przez kil, maszt jej przez kilkanaście sekund znajdował się pod wodą. Przygoda ta skończyła się szczęśliwie. Potem Mr. Ribell wrócił do Anglii, sprzedał „Selgę" i przyłączył się do załogi „Reine d'Arcor".

26.XI. stawiamy żagle, podnosimy kotwicę i wychodzimy z Las Palmas. W godzinę później wychodzi „Dar Pomorza". Po wyjściu stawia wszystkie żagle. Podchodzimy bliżej. Piękna sylwetka fregaty, przy podmuchach passatu kołysząc się lekko, mija nas w odległości ... m. Wzajemne salutowanie, wymiana pozdrowień i „Dar" oddala się. Bierzemy kurs na południe, a „Dar" więcej ku zachodowi na Wyspy Zielonego Przylądka. Przez kilka godzin aż do zmroku widzimy jego sylwetkę na horyzoncie.

Passat dmie bez przerwy, szybkość dobowa dochodzi do 136 mil. Pierwszy raz spotykamy latające ryby, których kilka wpadło na pokład. Po 8-miu dniach żeglugi rzucamy kotwicę w Dakarze.

Zygmunt T.